

Konkurs na esej „Po co Tobie Ojczyzna? ”

Imię i nazwisko: Joanna Budyń

Urodziłam się w 1950 roku, w czasach, które dziś wydają się bardzo odległe. Było biednie, ale spokojnie. Człowiek się nie przejmował, bo wszyscy mieli podobnie. Każdy miał coś swojego do roboty, każdy wiedział, co do niego należy. Jak się coś miało, to się człowiek cieszył, a jak nie, to się kombinowało, żeby mieć. Nasz dom stał trochę na uboczu, pod lasem, między polami. Do sąsiada było z pół kilometra, a do sklepu jeszcze dalej. Do domu prowadził błotnisty wąż. Jak padało, to buty się w błocie gubiło, a zimą to było nasze miejsce do zabawy. Bawiliśmy się tam z bratem. Był starszy o pięć lat, to zawsze miał nade mną przewagę, ale jak trzeba było, to też mnie pilnował. Tata zmarł, gdy miałam dziesięć lat. Dostał wylewu i już z tego nie wyszedł. Mama została sama z nami i z gospodarstwem. Nie miała lekko, ale nigdy nie słyszałam, żeby narzekała. Zawsze powtarzała, że trzeba robić, a nie płakać. Często wspominała swojego ojca czyli mojego dziadka, który zginął na wojnie. Do domu przysłali tylko wstęgę żałobną. Mama mówiła, że zginął, żebyśmy mogli żyć spokojnie. Wtedy tego nie rozumiałam, ale z czasem pojęłam, że to wszystko miało sens. Pamiętam, że chodziłam do przedszkola u zakonnic. Bardzo lubiłam kupny chleb, który tam jedliśmy. Był inny niż ten w domu, kupny i miękki. W domu często jadło się już zasuszony. Do szkoły chodziłam pieszo, dwa kilometry w jedną stronę. Zimą to była droga przez mękę, śnieg po kolana, buty przemoknięte. Miałam filcowe bambosze, które po powrocie trzeba było suszyć przy piecu. Czasem mama mnie niosła na plecach, żebym nie zmarzła. Ale nikt nie mówił, że jest ciężko. Tak po prostu się żyło. Mieliśmy dwa hektary pola. Niby niewiele, ale było przy tym mnóstwo roboty. Ziemię obrabiało się koniem, a czasem i rękami. Kosą się kosiło, cepami mucilo. Zboże suszyło się na piecu, a potem mielilo w żarnach. Praca była ciężka, ale człowiek się cieszył jak coś urosło i był chleb na stole. Po szkole zawsze szłam pomagać mamie w polu. Wracało się dopiero, jak się ściemniało. Dziś myślę, że to było dbanie o ojczyznę, bo kto pielęgnuje ziemię, ten ją naprawdę rozumie. Nie

było wtedy wody w domu. Wodę nosiło się z potoku, który płynął za łąką. Latem to jeszcze nie było tak źle, ale w zimie było ciężko. Jak śniegu nasypało po kolana, to najpierw trzeba było koniem ścieżkę do potoku udeptać, żeby dało się przejść. Dopiero potem szło się po wodę z wiadrami. Woda była lodowata, ręce kostniały, ale trzeba było nosić, bo bez niej ani ugotować, ani napoić zwierząt. Pranie też robiło się inaczej niż dziś. Na zewnątrz, w balii, na tarze. Zimą woda zamarzała w palcach, ale mama zawsze powtarzała, że pranie musi być zrobione, bo porządek to podstawa. Jak pranie wyszło na mrozie, to było sztywne jak deska, ale pachniało czystością i świeżym powietrzem. Takie codzienne trudy nauczyły mnie szacunku do pracy i do miejsca, w którym żyję. Nasz dom był mały, miał tylko kuchnię i pokój. Podłoga była z klepiska a dach kryty kiczkami. Do sprzątania mama robiła miotłę z brzoźowych gałązek. Polewało się klepisko wodą, żeby kurz się nie unosił. To był nasz sposób na porządek i godne życie, nawet w biedzie. W kuchni mieliśmy duży, ceglany piec. Na nim się gotowało, piekło i ogrzewało cały dom. Mama piekła chleb, którego zapach czuć było na odległość. Po upieczeniu smarowała go smalcem, żeby się błyszczał i nie wysychał. Nigdy później nie jadłam takiego chleba. To był smak dzieciństwa i smak ojczyzny- prosty, swojski i prawdziwy. Po podstawówce dalej nie poszłam. Brat się ożenił i wyjechał, a ja zostałam z mamą. Ktoś musiał zająć się gospodarstwem. Do miasta było dwanaście kilometrów. Jak się chciało coś sprzedać to się szło pieszo z koszem w rękach. Wracało się zmęczonym, ale dumnym, że się coś zarobiło. Święta Bożego Narodzenia miały wtedy inny smak. Choinka była mała, ale zawsze była. Ozdabiało się ją jabłkami, orzechami w sreberkach i papierowymi łańcuchami. Na wigilię chodziło się do sąsiadów, a oni przychodzili do nas. Wszyscy się znali, pomagali sobie. Jak ktoś miał mniej, to nikt mu tego nie wypominał. Zawsze się czymś podzielono. Ludzie byli serdeczniejsi. Dziś, gdy patrzę na to wszystko, trudno mi uwierzyć, jak bardzo zmienił się świat. Wtedy ludzie mieli mało, ale byli szczęśliwsi.

Dla mnie ojczyzna to właśnie ta ziemia, pola, lasy, droga, którą chodziłam z mamą po wodę. To zapach chleba, smak mleka, odgłosy naszych krów na łące i dźwięk dzwonów w niedzielę. To praca, rodzina, sąsiedzi, wiara i spokój. Kiedyś nie myślałam o ojczyźnie. W szkole o niej mówiono, ale człowiek nie rozumiał, co to znaczy. Dopiero z wiekiem przychodzi zrozumienie, że ojczyzna to nie wielkie słowo, tylko codzienność, którą się przeżyło. To miejsce, gdzie się urodziło, pracowało,

śmiało i płakało. To coś, co daje poczucie bezpieczeństwa i sensu. Teraz mieszkam kilometr od starego domu. Czasem idę tą samą drogą przez las i czuję, jakby nic się nie zmieniło. Patrzę na pola, na drzewa, na ten sam potok, z którego kiedyś nosiłam wodę. Myślę wtedy, że ojczyzna jest właśnie po to, żeby pamiętać. Żeby wiedzieć, kim się jest i skąd się pochodzi. Ojczyzna jest mi potrzebna po to, by czuć więź z przeszłością, z ludźmi, którzy byli przede mną. Po to, by wiedzieć, że nie żyję tylko dla siebie, ale też dla tych, którzy przyjdą po mnie. Dlatego w odpowiedzi na pytanie, po co mi ojczyzna, mówię po to, żeby pamiętać, kim jestem i jaką drogę przeszłam aby być tu gdzie jestem teraz.